

Steffen Junior, Edward

W wirze zamieci (4) : pamiętniki z wojny (rok 1942)

Przegląd Pruszkowski nr 1, 53-63

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W wirze zamieci (4)

Pamiętniki z wojny (rok 1942)

Żona i córka intendenta Głowińskiego, pochodzące z Kalisza, uratowały się. Po wojnie trafiły do Palestyny. Ich kuzynka komunikowała się ze mną pytając, czy zechcę zeznawać o okolicznościach śmierci intendenta Głowińskiego. Potwierdziłem gotowość poświadczenia bolesnej prawdy, ale telefonująca do mnie osoba nie zgłosiła się powtórnie. W pierwszych dniach okupacji niemieckiej zjawił się w Cumanii lekarz dywizyjny (oberstabsarzt) szukający kandydata na tymczasowe stanowisko lekarza rejonu odpowiedzialnego za funkcjonowanie służby zdrowia w terenie oraz uprawnionego do pobierania leków i materiałów opatrunkowych w bazie farmaceutycznej w Łucku. Na wyrwanej kartce z notatnika niemiecki lekarz dywizyjny wypisał odpowiednie upoważnienie na moje nazwisko podane przez kolegę Cymmera.

Z przyznanych uprawnień nie skorzystałem, gdyż odpowiednimi czynnościami zajęła się powstająca Służba Zdrowia administracji ukraińskiej.

Pewnego dnia w sierpniu wyjechałem na krótko w teren. Po powrocie dowiedziałem się, że szukał mnie oficer Gestapo. Podobnie kilka dni wstecz szukano nadleśniczego, Polaka, który był nieobecny, ale dowiedziawszy się o odwiedzinach, opuścił pośpiesznie Cumań. Zastanawiałem się, jak należy postąpić - czy zostać i czekać na powtórne odwiedziny Gestapo, czy wycofać się. Zostałem, zdecydowało skrupulatne rozważenie stopnia ryzyka. Byłem jedynym lekarzem, prowadziłem szpital, mogłem liczyć na opinię miejscowej ludności. Wreszcie władza sanitarna wojsk stacjonujących w okolicy powierzyła mi opiekę nad stanem zdrowia rejonu Cumańskiego.

Ponownych odwiedzin Gestapo nie było. Po powrocie do Pruszkowa w styczniu 1942 roku dowiedziałem się, że ojciec zabiegał o mój powrót przez zarządcę Szpitala w Torkach - Honneta.. Może był to ślad starań, chociaż ojciec wycofał się ze swego zamiaru, gdy zobaczył na odpowiedniej korespondencji w mojej sprawie wypisaną ołówkiem uwagę: "Hat zein Vater eine Kennkarte?", co należało rozumieć "deutsche Kennkarte".

Pod koniec sierpnia pojechałem do sąsiedniej Ołyki, do pracującego w tamtejszym szpitalu chirurga Tugentala. Wraciałem szpitalnym wozem.

Nie przypominam sobie, dlaczego kilka kilometrów szedłem pieszo obok pojazdu. Mżył deszcz. Na drugi czy trzeci dzień trochę zagorączkowałem. Gorączka spadła już po trzech dniach, dlatego, nie zwlekając, zacząłem wstawać i odwiedzać chorych w szpitalu odległym około 300 metrów. Lekarza zastępcy nie miałem. Jednak przeceniłem swoje siły: z dnia na dzień byłem słabszy, szybko się męczyłem, występowała duszność, której poprzednio nie odczuwałem. Nadto po spędzeniu kilku godzin na nogach podnosiła się ciepłota ciała do 38 stop., a nawet nieco wyżej. Podczas następnych dni, gdy leżałem w łóżku, wieczorami nie było gorączki.. Serce biło mi okresami niepokojąco, szczególnie gdy musiałem podnieść się nawet na krótki czas. Gubiłem się w pomysłach diagnostycznych. Początkowo przypuszczałem, że mam odczyn ze strony serca w związku z infekcją grypową. Felczera Samsonienkę pouczałem, jak ma opukiwać mi klatkę piersiową. Nakładałem fonendoskop, który felczer przesuwiał według moich zaleceń. Rozpoznałem wreszcie wysiękowe lewostronne zapalenie opłucnej, co potwierdził wezwany z sąsiedztwa kolega, lekarz ogólny. Zapalenie opłucnej po tej samej stronie przechodziłem już w dwunastym roku życia. Przebiegało z niewielkim wysiękiem, ale ze znacznymi bólami przy oddychaniu.

Na badanie rentgenowskie jechałem do odległego o 50 km miasta Równego. Opiekowała się mną pani Żenia. Nieogumiony wóz był wystany obficie sianem. W Cumaniu pozostał przystany z Łucka młody lekarz Goldsztajn, syn znanego i poważanego chirurga z Warszawy. Kolega Goldsztajn przyjechał z opaską na ramieniu obowiązującą obywateli Żydów. Z przykrością patrzyłem na tę dyskryminacyjną oznakę, szczególnie w odniesieniu do kolegi, który szybko pozyskał moją sympatię.

Podczas gdy w Równem oczekiwałem na prześwietlenie klatki piersiowej, przyszło dwóch lekarzy, z których młodszy - Rajewski, Ukrainiec - zapytał na wstępie, jakiej jestem narodowości, na co starszy, rentgenolog, wyprzedzając moją odpowiedź, odezwał się:

- Popatrz na głowę, przecież widzisz, że Polak. -

Miałem bardzo obfity wysięk w lewej jamie opłucnej ze znacznym przesunięciem serca w prawo. Płyn sięgał do poziomu lewego obojczyka.

Zostałem umieszczony w szpitalu w kilkuosobowej sali. Następnego dnia zrobiono mi nakłucie jamy opłucnej tak grubą igłą, jakiej nie użyłbym dla swoich chorych. Wypuszczono około litra płynu używając 250-cio milimetrowej strzykawki. Już ten umiarkowany upust płynu przyniósł mi wyraźną ulgę. Po upływie kilku dni powtórzono nakłucie i to, jak zdarza się nieraz w postępowaniu z pacjentami lekarzami, wypuszczono płynu zbyt mało, spora jego ilość utrzymała się w jamie opłucnej przez ponad pół roku, stając się przyczyną powstania masywnych zrostów.

W Równem nie było w czasie mojego pobytu w szpitalu kolegi Jochwed-
sa, którego wojna 1941 roku zastała na wczasach w południowej Ukrainie,
skąd trafił do tworzących się później oddziałów Polskiego Wojska. Wiedzia-
łem również o obecności tutaj chirurga Kohana (ucznia profesora Radliń-
skiego) cenionego tu za fachowość i rzetelność. Niestety, wkrótce przy-
szedł okres nasilonej eksterminacji Żydów, wówczas nie oszczędzono
nawet wybitnych fachowców, choć nie miał ich kto zastąpić. Tak zginął
również mój sąsiad z Ołyki, doktor Tugental, jedyny chirurg operator na
dwa sąsiednie szpitale rejonowe. W krytycznej chwili usiłował ratować się
ucieczką ze szpitala przez płot na położony obok cmentarz, gdzie zastrzelili
go gestapowcy.

Włączyłem do opowiadania o własnych losach te smutne uzupełnienia
o zgładzeniu ludzi z posterunku, zasłużonych w pracy, jeszcze przez długi
czas nie zastąpionych przez równej klasy specjalistów.

Z rozmów, które prowadziłem z chorymi współtowarzyszami sali szpi-
talnej, mogłem uzupełnić wiadomości o ustosunkowaniu się do nas, Pola-
ków, zarówno Ukraińców, jak Rosjan chętnie występujących z pozycji
obecnych gospodarzy. Inteligenci zazwyczaj podkreślali swoją wyższość
i niechęć, a może ukrywaną zazdrość, natomiast od prostych ludzi, ale nie
tępych nacjonalistów, można było oczekiwać zachowania się co najmn-
iej obojętnego.

Po powrocie do Cumania moja rekonwalescencja zaczęła powoli da-
wać rezultaty. Zacząłem wychodzić na powietrze i zaglądałem do szpitala,
gdzie zastępował mnie kolega Goldszajn. Pani Żenia z poświęceniem
dbała o wszystko, przede wszystkim zdobywała żywność. To jej zawdzię-
czam bezkolizyjne przetrwanie w tej przewlekającej się i nielekkiej choro-
bie.

W szpitalu było niewielu chorych a pomoc kolegi Goldszajna, człowie-
ka nie tylko inteligentnego ale i utalentowanego, jednocześnie dobrze
wyszkolonego lekarza, była bardzo cenna.

Miałem dużo wolnego czasu, toteż czytałem dostępną mi literaturę,
przeważnie rosyjską. Przeczytałem w oryginale "Wojnę i Pokój" oraz "Annę
Karenię" Tolstoja. Czytałem również Turgeniewa, sięgnąłem nawet po
szkolną literaturę z języka niemieckiego (wybrane nowele). Zbliżyłem się
do rodziny Janków i Wiśniewskich, choć pani Żenia była zazdrosna o każdą
moją nową znajomość.

Zywiół polski na okupowanym przez Niemców Wołyniu uległ wię-
kszemu scaleniu w obliczu zagrożenia, również a może przede wszy-
stkim, ze strony Ukraińców. Nie bez znaczenia był przyjazd do Cumania
przedstawiciela paramilitarnej organizacji TODTa, która objęła w posia-
danie i eksploatację miejscowy tartak. Nowy zarządca nazywał się

Galus, mówił śląską polszczyzną i - jak wskazywała jego postawa - był Polakiem z Opolszczyzny. Mimo pewnej rubaszości okazał się przystępny i w krótkim czasie dał się poznać jako opiekun polskiej ludności.

Przywiózł do Cumania kobietę Polkę z dwójgiem dzieci. Tę opuszczoną osobę zabrał po drodze do Cumania z terenu Wołynia. Galus opiekował się jak najlepiej tą przybraną rodziną.

Bywałem u Galusa w sprawach służbowych, a w czasie Świąt Bożego Narodzenia, w gościnie. Gospodarz, kiedy sobie trochę "podchmielił", wyśpiewywał staropolskie kolędy i tym podkreślał swoje polskie pochodzenie. Takich pieśni obrzędowo-religijnych mógł nauczyć się tylko w domu rodzicielskim zachowującym tradycje narodowe i religijne.

W czasie obecności Galusa w Cumanii nasza mniejszość narodowa poczuła się bezpieczniej. Wkrótce została nawiązana łączność zarządu tartaku z podobnymi placówkami na terenie Generalnej Guberni, dokąd zaczęli wyjeżdżać upoważnieni urzędnicy, między innymi Wiśniewski. Skorzystałem więc z jego uprzejmości i wysłałem wiadomość do rodziny w Pruszkowie, żywiąc nadzieję, że w najbliższej przyszłości będę mógł pojechać tą samą drogą.

Tymczasem byłem jeszcze dość słaby. Miałem zaburzenia naczynioruchowe: bicie serca, poty, rzadziej zawroty głowy, nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Za radą kolegi Goldsztajna napisałem list do lekarza wojskowego, wiedeńczyka obersztabsarza Riedel'a stacjonującego w Łucku. Dał się on poznać z dobrej strony. Był uczynny w stosunku do zaprzyjaźnionych osób, nie wyłączał ludzi narodowości żydowskiej, dawał nawet ostrzeżenia o zamierzonych represjach. Z młodszym kolegą Goldsztajnem i jego żoną, doktor Riedel grywał na fortepianie na cztery ręce. Lekarz ten odwiedzał również innych kolegów w Łucku i służył im pomocą, o czym dowiedziałem się po wojnie, odwiedzając Płock z racji mojej pracy w charakterze specjalisty wojewódzkiego. Wówczas rozmawiałem z małżeństwem lekarzy okulistów - Jasińskich, którzy w czasie wojny mieszkali i pracowali w Łucku. Znali osobiście doktora Riedel'a i wyrażali się o nim jak najlepiej.

W liście do tego lekarza opisałem stan mojego zdrowia, przebyte ostre wysiękowe zapalenie płucnej i przedłużającą się rekonwalescencję. Wskazałem również na konieczność przebycia leczenia klimatycznego w Otwocku. Doktor Riedel chętnie napisał odpowiednie pismo do władz Gebietskomisariatu w Łucku. Dostarczenia pisma podjął się zarządca tartaku Galus, a mnie wypadło czekać z nadzieją pomyślnego załatwienia sprawy.

* * *

Cofam się jeszcze wstecz. W miarę jak wojska niemieckie posuwały się na Wschód, otworzył się dostęp do skupisk Polaków tam zamieszkałych. Tak na przykład do Żytomierza pospieszyła czołówka księży z diecezji łuckiej, a właściwie łucko-żytomierskiej. Dokonywano masowo chrztów i udzielano ślubów. Część księży udała się na teren ziemi żytomierskiej, poszukując polskich rodzin, służąc posługą religijną i niosąc pociechę rodakom.

Ksiądz Zawadzki, proboszcz parafii w Cumanii, wracał powoli do obowiązków duszpasterskich. Niestety wkrótce zmuszony był opuścić parafię, gdyż mnożyły się napaści band maruderów, grabiących i mordujących ludność, palących zabudowania. Na terenie Rejonu Cumańskiego spalono kościół i plebanię, gdzie spłonął ksiądz i lekarz Romuald Secheń. Ksiądz Zawadzki zdążył emigrować do Kraju, gdzie objął wolną parafię na Ziemach Odzyskanych.

Od rodzin pracowników tartaku, Polaków, które zmuszone były do opuszczenia Cumania, dowiedziałem się w Warszawie, że rok 1942 spędzili we względny spokój, natomiast następny był bardzo ciężki do przeżycia. W miarę cofania się wojsk niemieckich z głębi Związku Radzieckiego - mnożyły się koczujące grupy maruderów a nawet wędrujące oddziały wojskowe z bronią maszynową i artylerią. W tych warunkach dalszy pobyt w Cumanii i innych miejscowościach Wołynia stał się coraz bardziej niebezpieczny.

Okres mojego zamieszkiwania w "Kołchozie Gelbsztajna" i moja z nim zażyłość nie podobała się niektórym mieszkańcom Cumania. Pojedyncze głosy odezwały się po zmianie władz okupacyjnych, ale nie miały złych następstw poza osobistym poczuciem przykrości, szczególnie gdy dowiedziałem się, że żona kierownika apteki francuska Żydówka nazwała mnie w szerszym gronie w sposób zgryźliwy - ten przyjaciel Żydów. Kolega Gelbsztajn był moim kolegą od początku studiów na medycynie w Uniwersytecie Warszawskim. Syn felczera z osady Jasieniec w powiecie grójeckim. Uczył się w gimnazjum Stowarzyszenia Kupców miasta stoł. Warszawy na Walicowie. Obaj zyskaliśmy prawo na studia po odbyciu ochotniczej służby wojskowej w Kampanii 1920 roku. Po otrzymaniu dyplomów doktora wszech nauk lekarskich w maju 1926 roku zaczęliśmy pracę w sąsiednich szpitalach w Warszawie na Woli. Odbyliśmy też kurs w szkole sanitarnej podchorążych rezerwy - turnus 1927-1928, w tej samej drużynie. Taka była geneza naszej zażyłości.

* * *

Wracam do grudnia 1941 roku. Nadchodziły Święta Bożego Narodzenia. Na wieczerzę wigilijną zostałem zaproszony do państwa Wiśniewskich, gdzie poczułem się jak w gronie rodzinnym. Tylko pani Żenia nie była

zadowolona z moich nowych znajomości i mówiła z niepokojem o zamierzonym przeze mnie wyjeździe do domu w Pruszkowie, gdyż już wtedy postanowiłem ominąć pobyt w Otwocku przeznaczony na rehabilitację klimatyczną.

W miarę sił przychodziłem do szpitala. Pani Żenia starała się, żeby w domu było ciepło i niegłodno. Poza pracą szpitalną robiła wstrzykiwania w domu chorych, leczyła też owrzodzenia na podudziach i stopach, zwykle zaniedbane stosowaniem domowych środków. Ekwiwalent za pracę otrzymywała przeważnie w żywności. W warunkach zafanej osady na polu wiejskiej taka praktyka ma duże powodzenie, którą cieszą się felczerzy i położne, a w ostatnich czasach coraz częściej pielęgniarki. Pani Żenia pielęgniarka i instrumentariuszka operacyjna była godna polecenia.

W początkach stycznia 1942 roku pojechałem do Łucka razem z Galusem po odbiór dokumentów na wyjazd do Generalnej Guberni. W Gebietskomisariacie urzędnik niemiecki, zanim wydał mi odpowiednie papiery, wykrzykiwał pod moim adresem mniej więcej tak - *"Was haben denn überhaupt diese verdammten Polen im Generalgouvernement zu suchen?!"* (Co ci przekłęci Polacy mają do szukania w Generalnej Guberni). Ale stojący obok mnie Galus powiedział po cichu żebym nie odzywał się, gdyż urzędnik dostał już swoją porcję kielbasy i sznapsa.

Otrzymałem upragnione zezwolenie, niestety bez prawa użycia państwowych środków komunikacji, a więc kolei żelaznej przede wszystkim.

Byłem niezmiernie uradowany nie spodziewając się tak szybkiego i pomyslnego załatwienia sprawy, tylko pani Żenia zatroskała się, radząc mi przeczekać zimę i dopiero na wiosnę przedsięwziąć wyprawę. Nie mogłem jednak odstąpić od powziętej decyzji i zacząłem przygotowania do drogi. Należało rozważyć sposób dostania się do przejścia granicznego w Uścitugu na Bugu. Odległość wynosiła około 150 kilometrów, którą najwygodniej było przebyć samochodem zarządu tartaku. Niestety odpowiednia wyprawa była przewidziana na wiosnę. Felczer Samsonienko namawiał mnie, żebym wybrał się saniami ze smolarami, którzy docierali do lasów nad Bugiem. Dla omówienia sprawy pojechałem do wsi Karpilówka. W obszernej czysto wybielonej izbie, której znaczą część zajmowało palenisko, zobaczyłem po raz pierwszy w życiu palące się łuczywo jako źródło światła. Było dostatecznie widno, a dym z palących się bogatych w żywicę drewek unosił się pod okap napełniając izbę zapachem ogrzanego letnim słońcem iglastego lasu. Ze smolarami jednak nie pojechałem, gdyż był to zbyt ryzykowny pomysł, nie tylko ze względu na mój stan niepełnej rekonwalescencji ale i zagrożenie przez włóczących się maruderów oraz

innych rabusiów. Musiałem poszukać innego rozwiązania. Do Łucka mogłem dojechać samochodem z tartaku a dalej szukać doraźnej okazji.

Do drogi przygotowałem się dokładnie, właściwie myślała o tym pani Żenia. Wypożyczyliśmy obszerną burkę z kapturem do włożenia na jesionkę. Na nogi wciągnąłem wygrzane kalosze. Mój bagaż mieścił się w niewielkiej walizce, i tak zbyt ciężki na ozdrowieńcze siły. Trzeba było pozbyć się kursujących radzieckich i ukraińskich pieniędzy - rubli i czerwońców. Kupiłem pokątnie kilka pięciorubłówek carskich licząc się z tym, że w domu czekają mnie zaciągnięte do spłacenia długi. Na wydatki po drodze przygotowałem tak zwane ostmarki.

Kiedy przyszło do pożegnania z władzami rejonu i współtowarzyszami pracy, Galus zasępił się, że nie mam zamiaru powrócić do Cumania po przeprowadzeniu rekonwalenscencji w sanatorium. Najbardziej jednak był zdziwiony komendant milicji Kiszka, którego, jak już pisałem, nie byłem w stanie rozszyfrować i dlatego obawiałem się jego reakcji.

W szpitalu pozostał kolega Goldsztajn i zredukowany personel pielęgniarski, gdyż wszystkie dziewczęta radzieckie, prócz zamężnej z miejscowym Ukraińcem Kati, zostały ewakuowane wraz z wojskiem. Odeszła też Żydówka Słoma. Pozostał tylko felczer Samsonienko, ale ten sprawiał raczej trudności ze względu na nałóg alkoholowy.

Pożegnanie z panią Żenią było wyjątkowo krępujące a wyrazy podziękowania niewspółmierne, żeby nie powiedzieć - banalne.

W marcu 1945 roku pani Żenia odwiedziła mnie w Pruszkowie. Była umundurowana, przyszła z polską armią ze Wschodu. Kiedy jednak zauważyła moje skonsternowanie, powiedziała pośpiesznie - proszę nie obawiać się, przyszedł tylko na pana popatrzeć. Zamieniliśmy niewiele słów. Zatrzymała się z oddziałem sanitarnym na terenie Tworek, gdzie mieściła się swego rodzaju baza wojskowej służby zdrowia. Urzędowała tam komisja lekarska dla wcielanych do wojska lekarzy. Działali głównie specjaliści: generał lekarz Szacki chirurg i generał lekarz Nowodworski internista, obaj absolwenci petersburskiej akademii medycyny wojskowej.

Wracając do pani Żeni - nie próbowałem jej zatrzymać na dłuższą rozmowę. Kilkanaście lat później otrzymałem list z Kołobrzegu. Pani Żenia prosiła o stwierdzenie, że pracowała w szpitalu pod moim kierownictwem. Odpowiedziałem niezwłocznie dotaczając cieplejsze słowa.

Do Łucka pojechał ze mną kontroler sanitarny Słucki, który okazał się bardzo zaradny. Za jego staraniem nadleśniczy z Uściługa Krzyżanowski a może Korzeniowski zgodził się zabrać mnie ze sobą. Dzięki porozumieniu obu panów mogłem zabrać w dalszą drogę burkę, którą przedstawiciel leśnictwa zobowiązał się dostarczyć przez Łuck do Cumania.

Z Łucka wyjechaliśmy nad wieczorem. Szosa w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego była prawie wyłącznie używana w tym czasie przez pojazdy samochodowe niemieckiego wojska. Sanie źle trzymały się wysłizganej nawierzchni, miejscami trzeba było wychodzić z sań i podtrzymywać je, żeby nie stoczyły się do rowu. Nie mogłem uchylić się od pomagania przy saniach tłumacząc, że jest to dla mnie zbyt duże obciążenie. Dopiero w dalszej drodze nadleśniczy zorientował się z moich wypowiedzi, w jakim stanie zdrowia podjąłem ryzyko podróży. Na szczęście kilkanaście kilometrów za Łuckiem zboczyliśmy z drogi i przenocowaliśmy u znajomych nadleśniczego w zagrodzie wiejskiej. Następnego dnia w połowie drogi między Łuckiem a Włodzimierzem Wołyńskim nasze sanie ześlizgnęły się w dość głęboki śnieg na poboczu szosy. Konie uderzone orczykami poniosły rozbijając nasz pojazd w kawałki. Niełatwo było wypożyczyć nowe sanie i złapać spłoszone konie. Zwłoka potrwała kilka godzin uniemożliwiając dotarcie do Uściługa tego dnia - jak było zaplanowane. W dalszej drodze minęliśmy Włodzimierz Wołyński. Nad obozem i barakami szpitalnymi dla jeńców radzieckich wisiały czarne chorągwie na znak, że panuje tam zaraza. O szczegółach opowiadał mi po drodze w Łucku lekarz, jeńiec radziecki przydzielony przez Niemców do pracy w obozie.

Droga była mało uczęszczana - koniec stycznia mroźnej i śnieżnej zimy. Na przydrożnych drzewach gęsto wisiały pokaźne pęki jemioloły. Dookoła panowała pustka a raczej bezludzie. Noc spędziliśmy w nadleśnictwie za miastem. Gospodarza nie zastaliśmy. Wprowadzono nas do kancelarii, o tej porze już wyziębionej. Co prawda szybko zapalono w piecach, ale minęło sporo czasu, zanim poczuliśmy upragnione ciepło. Do spania posłużyły zestawione krzesła. Nie mogłem zasnąć, dostałem dreszczy i zaczęło łomotać mi serce, a nieco później wystąpiło uczucie gorąca. Znając moje odczyny chorobowe uznałem je za niewątpliwy stan gorączkowy. Opanował mnie niepokój, zacząłem rozważać różne możliwości diagnostyczne, z których najbardziej obciążający byłby dur plamisty z wątpliwym rokowaniem, biorąc pod uwagę jeszcze nie wygojone wysiękowe zapalenie opłucnej. Na szczęście, jak się okazało niebawem, był to jednorazowy rzut gorączki wywołany najpewniej dużym wysiłkiem fizycznym u ozdrowieńca. Rano byłem osłabiony, ale gorączki nie miałem.

Zaproszono nas na śniadanie u gospodarza, nadleśniczego Ukraińca, który mówił po polsku, a wyglądał bardziej na aktora niż zarządcę lasów. Do śniadania podano nalewkę, której wypilem chyba trzy kieliszki, co dodało mi nie tylko animuszu ale i siły, a w każdym razie nie zaszkodziło.

Dopiero pod wieczór wylądowaliśmy w nadleśnictwie pod Uściługiem, gdzie przespałem się solidnie w gościnnym domu nadleśniczego, pana Krzyżanowskiego czy Korzeniowskiego.

Jak dalece może sięgnąć imaginacja w stanie niepokoju z pewnym nastawieniem lękowym, mogłem przekonać się, gdy rano po wstaniu z łóżka zobaczyłem w czystej pościeli wędrującą po prześcieradle, jak mi się wydawało, okazałą wesz. Zrobiłem ruch żeby ją zgnieść, ale przepadła. Chyba było to przewidzenie indukowane świadomością, że wesz, przenosicielka duru plamistego, była podówczas nie mniejszym złem od najeźdźcy.

Ostatnią noc przed przekroczeniem Bugu do Generalnej Guberni spędziłem w domu młodego lekarza w Uściługu. Oboje z żoną byli nader gościnni. Kolega, którego nazwiska nie zapamiętałem, znał osobiście mojego ojca.

Rano wynajętą furmanką, ostatniego dnia ważności przepustki, przejechałem przez most na Bugu i znalazłem się na terenie Generalnej Guberni. Pieniądze w niewielkiej ilości miałem w ostmarkach i złotych okupacyjnych.

Dojechałem wynajętą w Uściługu furmanką do Hrubieszowa, skąd mogłem już jechać kolejką.

Zatrzymałem się na plebanii korzystając z listu polecającego od księdza Zawadzkiego. Najbliższy pociąg w kierunku Lublina przez Rejowiec odchodził o północy. Godziny oczekiwania spędziłem w życzliwej atmosferze.

Do stacji kolejowej było niedaleko, poszedłem pieszo z walizką. Na dworcu okazało się, że o pociągu nie wiadomo nic pewnego. Nie miałem gdzie usiąść. Przesiałem całą noc i następne przedpołudnie, od czasu do czasu przykucając na walizce. Zjadłem bardzo skromne śniadanie, tyle że z ciepłym płynem od biedy przypominającym herbatę. Około drugiej po południu wsiadłem do przepelnionego pociągu, którym dojechałem do Zawady, i tu niestety trzeba było czekać prawie całą dobę na połączenie z Rejowcem. Długie godziny spędziłem chodząc po poczekalni pełnej pasażerów, którzy znaleźli się tu z odległych stron w poszukiwaniu żywności. Bufet był czynny, ale prócz chleba i gotowanego boczku można było dostać lichą herbatę.

Kiedy opisuję te wlekące się godziny dnia i dwóch nocy, trudno mi uwierzyć, że potrafiłem w moim stanie zdrowia, z zapalnym płynem sięgającym w lewej opłucnej prawie do połowy łopatki, przebyć tyle czasu na dworcach kolejowych niemal wyłącznie stojąc i chodząc.

W Rejowcu postanowiłem szukać noclegu. Dopomógł mi w tym spotkany dobry znajomy z Pruszkowa. Był nim Olek Kosiński, brat mojego serdecznego kolegi, lekarza Władysława. Zaprowadził mnie na kwaterę, gdzie mogłem coś zjeść i przespać się. Było mi, właściwie

mówiąc, obojętne co dostanę do jedzenia i w jakiej pościeli mam spać, toteż zasnąłem kamiennym snem.

Pociąg w kierunku Lublina odchodził wczesnym ranem. Pomimo wypoczynku ledwie dzwigałem średnio ciężką walizkę przystając co kilka kroków. Serce biło mi dokuczliwie. Na dworcu musiałem przedłużyć ważność biletu i dopłacić za pośpiech. Pociąg z Rejowca do Lublina szedł ze Wschodu, był pełen wojskowych. W Lublinie po krótkim oczekiwaniu wsiadłem do warszawskiego pociągu. Okna w przedziałach przeważnie powybijane, było dokuczliwie zimno.

Po raz pierwszy byłem świadkiem rewizji. Żandarmi szukali żywności. Miałem ze sobą około półtora kg słoniny. Pokazałem zaświadczenie od władz milicyjnych z Cumania, na co rewidujący żandarm machnął ręką lekceważąco.

Wreszcie przyjechałem do ruin dworca centralnego w Warszawie i podążyłem do przystanku kolejki EKD na Nowogrodzkiej. Przy wejściu do wagonu spotkałem męża mojej siostry Barbary - Dutkiewicza. Oboje z córkami mieszkali u moich rodziców na terenie Szpitala w Tworkach.

Postanowiłem najpierw odwiedzić rodziców, a moje dzieci następnego dnia rano. Przy wejściu spotkała mnie matka. O jakżesz zmieniona! Wychudła i posiwiała, a miała w tym czasie tylko 63 lata. Kiedy szedłem na wojnę w 1939 roku była jeszcze czerstwa i pełna sił. Ojciec przyszedł później. Pracował nadal w Tworkach, mniej czasu poświęcając "Wrzesinowi", w którym gospodarował jeden ze współwłaścicieli, spadkobierca doktora Stanisława Bucelskiego, ordynatora Szpitala w Tworkach.

Moje dzieci mieszkaly we "Wrzesinie" - wyrosły i zmieniły się. Aż dziwne, gdy się na nie patrzyło. I one początkowo były skrupowane moją obecnością po tak długiej rozłące. Najstarsza córka Basia była po przebytej operacji ortopedycznej dla skorygowania wadliwego ustawienia stawu biodrowego. Sprawa chorobowa zapoczątkowana w końcu 1932 roku ciągnęła się przez następne lata w sanatorium dziecięcym na Bystrem w Zakopanem. Kiedy wróciłem z Wołynia Basia nie miała już czynnych zmian w biodrze, ale epizody wielostawowe powtarzały się z pewną okresowością.

Dzieci uczyły się w pobliskiej szkole im. Henryka Sienkiewicza. Była to szkoła podstawowa o zredukowanym programie naczania, jaką Niemcy jedynie tolerowali.

Matka dzieci Lucyna po rozwodzie ze mną i wyjściu ponownie za mąż mieszkała w Warszawie. Opiekę nad naszą (moją) trójką sprawowały zaangażowane wychowawczynie. Gdy powołano mnie do wojska i znalazłem się po stronie radzieckiej, dziećmi opiekowała się zaprzyjaźniona

z naszą rodziną panna Jadwiga Mańkowska, a później nieznaną mi panna Janina Siemieniukówna. Lucyna dojeżdżała okresowo i na krótko. W miarę możliwości odwiedzała wnuki moja matka, której przypadł obowiązek przyjęcia wysiedlonej z Włocławka rodziny mojego brata Tadeusza, inżyniera elektryka wcielonego do wojska w jednostce łączności przy kwaterze Naczelnego Wodza w Kraju, a później przydzielonego do odpowiedniej formacji we Francji. Żona brata magister polonistyki Zofia pracowała na terenie Pruszkowa w szkolnictwie licealnym na tajnych kompletach.

Sanatorium "Wrzesin", spółka komandytowa firmowana przez mojego ojca, była prowadzona do czasów wojny z wydatną pomocą pana Józefa Kwasiborskiego. W czasie okupacji wynikała jednak konieczność przekazania tej czynności wspomnianemu już właścicielowi Wacławowi Bucelskiemu, który potrafił nawiązać łączność z zarządem Związku Gmin przy Kreishauptmanie w Warszawie. Stamtąd "Wrzesin" otrzymywał odpłatnie przydziały żywności, opału i alkoholu z pewną regularnością. To pozwoliło utrzymać lecznicę a nawet uzyskiwać dochody. Lekarzem miejscowym był kolega Uszkiewicz, psychiatra, któremu niemiecki zarządca Tworek Honnet wymówił pracę. Uszkiewicz zajął jeden pokój w moim mieszkaniu.

Musiąłem pomyśleć o pracy nie czekając na pełne wyzdrowienie z pozostałości wysiękowego zapalenia płucnej i od dnia 1 marca 1942 roku objąłem oddział zakaźno-wewnętrzny Szpitala Powiatowego w Pruszkowie. Mieścił się on w zabudowaniach sanatorium psychiatrycznego doktora Goldberga przy szosie z Tworek do miasta. Obecnie posesja należy do parafii pod wezwaniem św. Edwarda.

Na tym kończę moje wspomnienia wojenne obejmujące okres od sierpnia 1939 roku do marca 1942 roku. Pierwsza ich część została opublikowana w numerze 2/1992 "Przeglądu Pruszkowskiego"

Moje dalsze dzieje okupacyjne, obejmujące lata pracy w Pruszkowie do zakończenia wojny w 1945 roku, były zamieszczone w numerze 1/1992 "Przeglądu Pruszkowskiego".